

# WPROST PRZECIWNIE

## Obrazki z dzieciństwa

Michał Rusinek

*Osoby:*

*On - mężczyzna w średnim wieku*

*Ona - kobieta w średnim wieku*

**Scena 1.**

***Szpital. ON siedzi na krześle, za nim, za parawanem, odbywa się poród.***

ON:

Nabokov pisał, że znał pewnego młodzieńca, który cierpiał na fobię wobec przeszłości. Oglądając rodzinny film, nakręcony na miesiąc przed jego urodzeniem, patrzył z udręką na doskonale znany sobie świat, to samo umeblowanie, tych samych ludzi. Ale był świadomy, że jego w tym świecie nie ma, że nikt nie dostrzega jego nieobecności i nie cierpi z jej powodu. Szczególnie przerażający był dla niego widok kupionego właśnie dzieciennego wózka, stojącego na ganku. Wózek był pusty. I przypominał mu trumnę. Wszystko jedno, czy na świecie już nas nie ma, czy jeszcze nas nie ma. Przerażający jest świat, w którym nas nie ma.

*Przechodzi za parawan, wkłada biały kitel. Odślania parawan, za którym jest łóżko, ale oboje je zasłaniają.*

ON (jako lekarz):

Jest główka. Przyj!

ONA (jako położna):

Mam główkę. Przyjże!

ON:

Jest! Chłopak! Pępowina... Już.

ONA:

Co taki cichutki? Nie płacze. Żyje?

ON:

Klapsa mu daj. Ma płakać. Wszystkie one płaczą. Jak nie płaczą, to znaczy, że coś nie tak z nimi. No i nie odkrztuszają. Klapsa mu!

*Słychać klaps, a po nim płacz niemowlęcia. Oboje odwracają się do widowni. Stają oparci o łóżku, zdejmują rękawiczki, zakładają ręce.*

ONA:

No i wszystko w porządku. Żyje. Ale to dziwne, nie? Tak się rodzić bez płaczu. Przecież to padół łez. Powinien się przyzwyczajać od początku. Umiejętność płaczu mu się przyda jeszcze wiele razy. Ale to smutne, że pierwsze, co z siebie wydajemy, jako dowód życia, to płacz właśnie.

ON:

Nie filozofuj. A co mamy robić na początku?

ONA:

No, nie wiem. Może się śmiać?

ON:

Śmiać się? Niby z czego? Wygodnie nam tam było, ciepło, bezpiecznie. A teraz co? Rozpacz! Rozpacz, dopóki nie umrzemy!

ONA:

No ale śmiechu też trochę nas czeka, nie? I radości. I wzruszeń. Szkoda, że nie możemy od razu po urodzeniu czegoś powiedzieć. Notuje się te ostatnie słowa słynnych ludzi. Notowałybyśmy też pierwsze słowa.

ON:

A jakie by to miały być słowa? Może: „Proletariusze wszystkich krajów łączcie się!”? Albo: „Za dużo światła!”? „Skończyło się milczenie”? „Było tam bardzo pięknie”? A może: „Jak pies, jak pies” albo „O, święta naiwności!”, albo „Wprost przeciwnie” — te pasują i jako ostatnie, i jako pierwsze.

ONA:

Wprost przeciwnie... Kto to powiedział?

ON:

Ibsen.

ONA:

Pasuje i na ostatnie, i na pierwsze słowa. I na tytuł.

ON:

Tytuł czego?

ONA:

Książki? Sztuki? Takiej o życiu. Ale jeśli to pierwsze słowa, to kogoś, kto ma ochotę wrócić tam, skąd właśnie wyszedł.

ON:

Z naszą pomocą.

ONA:

Powiedzmy, że się rozmyślił.

ON:

Nie da się wrócić. Tak jak nie da się nie umrzeć. Prawda?

ONA:

Wprost przeciwnie.

ON:

Wprost przeciwnie.

*Oboje wybuchają śmiechem.*

## **Scena 2.**

***Piaskownica. ON i ONA kucają i robią babki z piasku.***

ON (*wstaje, ONA dalej się bawi*):

Moi rodzice poznali się na studiach w Dużym Mieście, ale oboje wychowywali się w Małym Mieście, gdzie ich rodzice, czyli moi dziadkowie, przenieśli się po wojnie z różnych stron dawnej Polski. Okazało się nawet, że przez jakiś czas, gdy moi rodzice byli całkiem mali, mieszkali przy tej samej ulicy, naprzeciwko siebie. I nawet bawili się ze sobą na którymś podwórku. Albo w ogóle na ulicy, bo wtedy jeździło jeszcze bardzo mało samochodów. Potem spotkali się dopiero jakieś dwadzieścia lat później, właśnie na studiach, ale dla mnie – gdy się dowiedziałem, kiedy się poznali – było jasne, że byłem już w planach zaraz po wojnie. Pewnie dlatego zawsze byłem dużo starszy od moich rówieśników. Ale kim właściwie byłem? Dorośli pytali mnie, kim chciałbym być, nikogo nie interesowało, kim jestem.

ON (*wraca do piaskownicy i śpiewa*):

Jestem, kim nie chcę  
kimkolwiek, gdzie i jak.  
Poniekąd bądź co bądź,  
bynajmniej nieco wspak.

ONA (*śpiewa*):

W słonecznym cieniu miękkich skał  
śpiewałam wściekle śpiąc.  
Od środy do Księżycy  
nadleciał tłusty brzdąc.  
Pływałam po pustyniach  
na oceanach schnąc.

ON:

Jestem szelestem,  
protestem, gestem "dość"  
Odkleił mi się przód,  
a bok mi daje w kość.

ONA:

Milczącym krzykiem witał mnie  
bezludnej wyspy tłum,  
i kołem kwadratowym  
opasał ciszy szum.  
Biegałam w miejscu stojąc,  
stanęłam skokiem pum.

ON:

Jestem podestem,  
pod jakimś ważnym czymś.  
I szukam ile sił  
do tego czegoś rym.

*Głos zza sceny woła:*

Obiad! Ooooooobaaaaad!

ONA:

Na obiad obłąd dają dziś,  
wypełzło coś na ląd,  
z najdalszych nam okolic,  
skądinąd albo stąd,  
lub zowąd albo znikąd,  
a może tkwi tu błąd?

ON:

Jestem, kim nie chcę  
kimkolwiek, gdzie i jak.  
Poniekąd bądź co bądź,

bynajmniej nieco wspak.

### **Scena 3.**

***Wnętrze mieszkania. ON i ONA, siedzą przy stole i grają w karty.***

ON:

Moja babcia mieszkała w willi, która nazywała się „Nietwoja”, co mnie zawsze fascynowało jako zaklęcie zniechęcające gości lub potencjalnych kupców, ale i jako dowód na czyjeś poczucie humoru? Czyje? Nie wiadomo. Dla mojej babci zaklęcie to jednak okazało się złowróżbne, bo została zmuszona do sprzedania mieszkania w tej willi: człowiek, którego dokwaterowano tam po wojnie, zaczął piąć się po szczeblach lokalnej władzy i coraz mniej odpowiadało mu mieszkanko w suterenie. Postanowił więc zająć mieszkanie babci, zmuszając ją, by je sprzedała za jakiś psi grosz. Nie pamiętam dokładnie tego człowieka.

ON (*siada pod stołem*):

W rozmowach, które podsłuchiwałem siedząc pod stołem w salonie, dorośli mówili o nim ściszymi głosami, jak o jakimś czarnym charakterze, w dodatku używając niemieckich słów lub jakichś dziwnych skrótów. Miał polskie nazwisko, bardzo ładne, ale podobno przed wojną miał inne. Był Niemcem, który po przegranej dla niego wojnie postanowił zmienić w Polaka i oszukać moją babcie? A może był Żydem, który wolał zapomnieć o swoim przeklętym pochodzeniu? Nie ważne. Ważne, że był obcy. Że można go było nienawidzić. Wrogie przejście przez niego naszego ukochanego mieszkania wydawało się jednym z punktów jego niecnego planu, skierowanego nie tylko przeciwko naszej rodzinie, ale i naszej ojczyźnie. Zawsze uciśnionej. Zawsze prześladowanej. Zawsze zmuszanej do tułaczki i emigracji. Wielkiej, oczywiście.

ONA:

My, dzieci z okolicy, też go nie lubiliśmy. Pamiętasz, że naszym ulubionym zajęciem było nękanie go dzwonieniem do drzwi i uciekanie. Kiedyś zaczął się na nas i otworzył drzwi, zanim zdążyliśmy się schować. Uciekaliśmy, co sił w nogach! Bo nigdy nie wiadomo, co takiemu złemu człowiekowi do głowy wpadnie.

ON:

Ja zostałem. Nie uciekłem. Pomyślałem, że wolę, żeby patrzył mi w oczy, niż żeby złorzeczył moim uciekającym piętom; i tak przecież wszystkich nas widział i rozpoznał. I wtedy na mnie nie nakrzyczał. Staliśmy tak przez chwilę naprzeciwko siebie, obaj dość zakłopotani. Wiele lat później dowiedziałem się, że wyciął w ogrodzie wielki świerk, na który wdrapywał się mój tata, jak był mały. Ten dom teraz stoi pusty. Chciałem go kupić, ale działka, na której stoi jest tak droga, że mnie na nią nigdy nie będzie stać. Dom pewnie przypadkiem spłonie. I powstanie tam hotel albo pensjonat.

ONA:

A pamiętasz pożar?

ON:

Tak. Willa była stara, góralska, przerobiona w czasie okupacji przez jakiegoś Niemca. Pachniała i skrzypiała tajemniczo. Którejś nocy pachniała i skrzypiała jakoś za bardzo tajemniczo, więc jęczałem i marudziłem, budząc rodzinę. Nad ranem okazało się, że się pali: ogień tlił się między drewnem a tynkiem. Babcia zadzwoniła po straż pożarną.

ONA (*udaje, że telefonuje*):

Halo? Czy to straż pożarna? Pali się! Pali się!

ON:

Przyszedł znudzony strażak z siekierką i odkuł kawałek tynku. Wtedy buchnął na niego ogień i osmalił mu wąsy. Strażak odskoczył, powiedział: „kurwa mać” i dopiero wtedy zawołał kolegów z prawdziwą sikawką. Zaczęła się widowiskowa akcja, którą strasznie chciałem zobaczyć, bo znałem ją głównie z wierszyka Brzechwy, ale zdradziecko wzięto mnie na spacer. To było bardzo niesprawiedliwe. Wielokrotnie nawracaliśmy, żeby zobaczyć – niestety z daleka – co robią strażacy. A potem przez kilka dni musieliśmy spać u sąsiadów.

ONA:

Twoja babcia zawsze bardzo młodo wyglądała. Kiedy twój tata był nastolatkiem, kazała mu w miejscach publicznych zwracać się do siebie po imieniu. Podobno nie było to łatwe i ciągle się mylił, mówiąc: „Mam... to znaczy: Krysiu!”. Miała sporą orientacją w muzyce młodzieżowej: odpytałeś ją z różnych modnych wykonawców i właściwie tylko troszkę mylił jej się George

Michael z Michałem Jacksonem. Poza tym była tak wykształcona w tej dziedzinie, jak mała która babcia. Choć tak naprawdę najbardziej lubiła słuchać Julio Iglesiasa.

*(w tle muzyka)*

ON *(śpiewa do rytmu Iglesiasa)*:

Babcia z przyjaciółkami,  
Lolą, Wisią oraz Lusią,  
w każdą środę grała w brydża  
popijając go kawusią.  
W pewną środę moja babcia  
rzekła: „Wiecie, o czym marzę,  
Lolu, Wisiu oraz Lusi? —  
By się nigdy nie zestarzeć!”  
Następnego dnia zniknęły  
wszystkie cztery, tak nad ranem,  
by nie w brydża lecz w piotrusia  
teraz grać — z Piotrusiem Panem.

ONA:

Miała w mnóstwo przyjaciół. Gdy zostawałeś z nią sam, to zabierała cię wieczorami na przykład na brydża zapewniając, że będziesz się świetnie bawił, bo spotkasz tam też kogoś w swoim wieku.

ON:

Kłopot polegał na tym, że wówczas ludzie w moim wieku, bez względu na płeć, nie interesowali mnie szczególnie. Wolałem dorosłych. Gdy znudziła mnie i z nimi rozmowa, włożyłem pod stół i bawiłem się sam. Nie nauczyłem się grać w brydża, ale bardzo polubiłem krakersy, które nazywały się „Brydżowe” i były podawane przy takich okazjach. Spośród znajomych mojej babci najbardziej zapamiętałem pewnego byłego kawalerzystę (i podobno adiutanta generała Wieniawy-Długoszowskiego), który z szelmowskim uśmiechem uczył mnie piosenek kawaleryjskich.

ONA *(dokleja sobie wąsy i śpiewa)*:



Miała Marysia piśię,  
um-papa, um-papa, um-papa, um-papa,  
pozalepiała ji się,  
um-papa, um-papa, um-papa, um-papa,  
Przyszedł Michał,  
porozpychał  
i poprawiło ji się!  
Przyszedł Michał,  
porozpychał  
i poprawiło ji się!

ON:

Niewiele z nich rozumiałem, ale uczyłem się szybko. Gdy je potem odśpiewałem mamie, o mało nie zemdląła. Był adwokatem i oprócz mieszkania miał domek w lesie, w którym prowadził bujne życie towarzyskie. Ponoć którejś nocy obudził go łomot do drzwi. Na progu stał góral z zakrwawioną ciupagą i jęczał: „Panie meeecenasie, raaatujciez! Zabitek!”.

ONA:

Uparł się, żeby zdążyć przed śmiercią wypić z tobą wódkę. Twierdził, że pił wódkę z twoim dziadkiem, ojcem i stryjem, więc teraz musi z tobą.

*(Nalewa wódkę do dwóch kieliszków, wypijają)*

ON:

Chodźmy już stąd.

*(Wstaje od stołu)*

ONA *(chwyta go za rękę)*:

Poczekaj. Wiesz przecież, co tu się jeszcze wydarzyło. Opowiadał ci twój stryj.

ON:

Pewnego dnia, kiedy mój tata i jego brat byli mali, dziadek postanowił odejść. Ponoć wpadł w jakieś finansowe tarapaty, bo o wiele lepiej wychodziło mu wydawanie i rozdawanie, niż zdobywanie i zarabianie pieniędzy.

ONA:

Masz to po nim...

ON:

Chłopcy nie słyszeli tej rozmowy. Ale pamiętali, że po niej, tego wieczoru, nastąpiła w domu jakaś dziwna cisza, inna niż zwykle.

*Nalewa sobie wódki, wypija. Ona też podstawi kieliszek.*

ONA:

Od czasu do czasu, zwłaszcza na Święta, przysyłał paczki z jakimiś produktami pierwszej potrzeby. Któregoś roku postanowił wprowadzić urozmaicenie do tego nudnego rytuału i przysłał twojemu tacie paczkę, w której był frak. Czyli produkt nieomal ostatniej potrzeby.

ON:

Tułał się po świecie, a na starość osiadł w jakimś mieście. Nie znałem go. Kiedyś zaczął do mnie pisać listy, trochę smutne. Chyba czuł się samotny. Kiedy go odwiedziłem, był okropnie gruby, ważył 120 kilo i ledwo się ruszał. Pamiętam, że poprosił, żebym mu kupił paczkę cukierków, ale ich nie jadł. Lubił siedzieć przy oknie i rzucać je dzieciom bawiącym się na podwórku. Radość sprawiało mu rozdawanie.

ONA:

Właściwie nie wiem, po co człowiek chce poznać swojego na przykład dziadka, który nie utrzymywał kontaktów z rodziną. Z ciekawości? Żeby go zapytać, czemu odszedł? Żeby go opierdolić? Obarczyć winą za jakieś traumy, które może i samemu się odziedziczyło?

ON:

Raczej żeby poznać lepiej siebie. Zrozumieć swoje reakcje. Zobaczyć w nim — siebie. Swoje miny, gesty, sposoby unoszenia brwi. Swoją łagodność lub bezwzględność. Słabość. Siłę. Bezradność.

ONA:

No i czego się o sobie dowiedziałeś?

ON:

Wiem, że odziedziczyłem po nim charakter pisma.

#### **Scena 4.**

**ON i ONA przy stole. ONA stoi i coś bardzo energicznie i głośno sieka.**

ON (*przekrzykując siekanie*):

Co jakiś czas przyjeżdżała do nas ciocia Marylka, siostra mojej babci ze strony taty. Była księgową. Jej życie dzieliło się na dwa okresy: gdy pracowała w Wojewódzkim Zarządzie Kin i gdy pracowała w Zakładach Mięsnych. Miała też odpowiednio dwa rodzaje opowieści – obie zaczynały się od frazy „Gdy pracowałam w...” i tu następowały nazwy instytucji. Była w życiu tylko na jednych zagranicznych wakacjach, po których doszła nowa porcja opowieści, zaczynających się od frazy „Gdy byłam w górach Harzu...”.

ONA (*śpiewa*):

W naszym zakładzie wędliniarskim  
pracował był jegomość dziarski.  
Raz, cóż, z powodu odurzenia  
wpadł do maszynki do mielenia,  
co rozdrobniła go na kwarki;  
z maszynki zaś do nadziewarki.  
Następnie zawisł w formie pęta  
w wędzarni. Gotów był na święta.  
Zaraz po świętach śledztwo wszczęto  
i prześlędzono każde pęto.  
Wynika z śledczych protokołów,  
że trafił on na kilka stołów.  
Wszyscy, którzy go skosztowali  
(ci duzi i ci całkiem mali),  
zeznali - bez mrugnięcia powiek -  
że był to bardzo dobry człowiek.

ON:

Ciocia była chodzącym dobrem. Przysyłała nam paczki z wędlinami (gdzie pracowała wiadomo gdzie). Bardzo troszczyła się o swoją młodszą siostrę, czyli moją Babcie.

ONA (*krzyczy do kogoś za drzwiami*):

Krysiu, pamiętaj, jak będziesz w jakimś obcym mieście, nigdy nie wsiadaj do taksówki z nieznanym taksówkarzem!

ON:

Kiedys ją odwiedziłem. Miała maleńkie mieszkanie. Znakomicie gotowała. Podobno tak skrupulatnie kroїła cebulkę, że sąsiedzi myśleli, że robi remont (*ONA cały czas coś sieka*). Miała tylko jedną książkę, za to w wielu wydaniach: „Słówka” Boya. Przez całe życie spisywała w zeszytach domowe rachunki, przychody i rozchody. Któregoś dnia podsumowała dwie kolumny i napisała zero. Po czym umarła.

*ONA przestaje siekać.*

**Scena 5.**

***Oboje siedzą na kanapie, przodem do widowni, jakby oglądali telewizję. ONA ma jasnofioletową perukę.***

ON:

Moi drudzy dziadkowie mieszkali gdzie indziej. Przyjeżdżałem do nich rzadziej. Babcia była osobą, której udawało się łączyć gołębie serce z gwałtownym temperamentem. Przeklinała, nie bardzo wiem czemu, po francusku – może żeby było łagodniej?

ONA (*gwałtownie*):

*Merde!*

ON:

Była też siwiuteńka jak gołębek i co jakiś czas wpadała na ekstrawagancki pomysł, żeby farbować sobie włosy na fioletowo. Wyglądała wtedy trochę jak z kosmosu.

ONA:

*Casse-toi!*

ON:

Dziadek był chodzącą łagodnością. Nosił w sobie jakąś wojenną tajemnicę, o której nigdy nie chciał mówić. Nawet kiedy dostałem zadanie domowe, żeby zapytać dziadka, co robił w czasie wojny, odpowiedział tylko, że robił wszystko, żeby przeżyć. Moja pani nauczycielka była tą odpowiedzią rozczarowana, widocznie liczyła na jakieś heroiczne czyny, zgodne ze szkolnym nauczaniem historii. Wiem, że go torturowano. I że po wojnie dość długo musiał się ukrywać, bo żeby przeżyć, dołączył do tych, którzy po wyzwoleniu nie byli mile widziani. Podobno odwiedzał babcię po kryjomu, w przebraniu.

ONA:

*Sacrébleu!*

ON:

Prowadził kino w sanatorium, więc naoglądał się sporo filmów (*w tle muzyka marszowa, więc ON zaczyna recytować w jej rytm*): Zwłaszcza z przeróżnych filmów wojennych/ znał więc na pamięć wszystkie dialogi/ i przez sen krzyczał: „Ręce do góry!”/ zrywając babcię na równe nogi.

ONA:

*Ras-le-cul!*

ON:

Często chorował. Kiedyś wezwano do niego pogotowie. Gdy odzyskał przytomność, schylał się nad nim czarnoskóry człowiek, pytając: „Jak się cujesz?”. Dziadek myślał, że już umarł i jest po jakiejś drugiej stronie — nie był tylko pewien, czy to niebo, czy piekło — a to tylko zagraniczny absolwent akademii medycznej miał akurat dyżur w pogotowiu. Kiedy umierał naprawdę, zaczął wypominać babci jakieś romanse sprzed pół wieku.

ONA (*zakłopotana*):

*Putain!*

**Scena 6.**

***ON i ONA siedzą nadal na kanapie, ale w strojach wojskowych i hełmofonach. ON trzyma w ręku rurę od odkurzacza.***

ON:

Moje dzieciństwo – choć przypada na okres peerelowskiego pokoju – miało dość wojenny charakter. Namiętnie oglądałem serial „Czterej pancerni”, z poduch od tapczanu rodziców oraz rury od odkurzacza robiłem sobie wieżyczkę czołgu i ostrzeliwałem hitlerowskiego najeźdźcę. Za ścianą mieszkał wtedy aktor, który w moim ukochanym serialu grał epizodyczną rolę dobrego Niemca. Rzecz jasna, nie strzelałem w tę ścianę. Z powodów patriotycznych. Zdarzało mi się czytać pod kołdrą książkę Janusza Przymanowskiego, na podstawie której nakręcono ów serial, do późna w noc, z latarką pod kołdrą. Moja Mama była zdania, że w ten sposób niszczę sobie oczy i mawiała:

ONA (*kategorycznie*):

Jak oślepniesz, to zobaczysz!

ON:

Moja twórczość artystyczna z tego okresu skoncentrowana była, oczywiście, wokół tematyki wojennej. Na Dzień Matki, imieniny, urodziny, Dzień Kobiet oraz bez okazji – moja mama dostawała ode mnie laurki z czołgami. Czasami zdarzało się, że czołgi te były pięknie udekorowane lub wychodził z nich żołnierz w obowiązkowym hełmofonie, trzymający w ręku kwiaty. Byłem z tych obrazów bardzo dumny i nie bardzo rozumiałem zakłopotane miny rodziców.

ONA:

Znowu czołg... Ale jaki śliczny. Różowy!

ON:

Chodziłem do maleńkiego przedszkola przy maleńkiej uliczce o bardzo długiej i – oczywiście – wojennej nazwie: Obrońców Poczty Gdańskiej. Przedszkole to nie miało swojego podwórka ani ogrodu, a ściślej, ogród przed przedszkolem był zarazem terenem, na którym trenowali łucznicy z jakiegoś sportowego klubu przy sąsiednim technikum. Raz na jakiś czas wszystkie dzieci wyganiano z ogrodu, skrupulatnie liczone i zamykano w przedszkolu. Wtedy wychodzili łucznicy z wielkimi łukami i strzelali do tarcz. Mogliśmy to oglądać przez okna. Zwykle było to

nudne, ale pewnego dnia, gdy tak siedzieliśmy i patrzyliśmy na łuczników, któraś z pań przedszkolank wykrzyknęła:

ONA:

O Boże! A gdzie jest Albin?!

ON:

Kolega Albin był dzieckiem krnąbrnym i lubił chodzić własnymi drogami. Tego dnia postanowił schować się za jedną z tarcz. Wystawił nawet głowę i do nas pomachał. Pani zemdląła (*ONA mdleje*). Nie bardzo wiedzieliśmy, dlaczego. Przecież nic się nie stało.

ONA:

A co ci się śniło, kiedy byłeś mały?

ON:

Śniło mi się często, zupełnie nie wiem czemu, powstanie warszawskie, i w ogóle II wojna światowa. Może to był wpływ oglądanego serialu? A może pamięć przodków, zapisana w moim DNA? Najczęściej musiałem wychodzić z kanału i przebiec na drugą stronę ulicy, ale biegłem jakby w zwolnionym tempie. Wiedziałem, że z tyłu czai się niemiecki snajper, słyszałem, jak odbezpiecza broń i strzela, a po chwili czułem, jak plecy przeszywają mnie kule. Wtedy się budziłem. W snach przeżywałem wielokrotnie własną śmierć. Podobno po to są sny: żeby nas przyzwyczaić do śmierci.

ONA:

A pewnego dnia przyszedł dziwny list z Niemiec.

ON:

Tak. Ktoś nam nieznany dostał nasz adres jakąś określoną drogą i napisał, że postanowił przysyłać nam paczki. W Polsce panował wówczas dość dramatyczny kryzys, w sklepach nie było prawie nic do jedzenia – informowały o tym media na całym świecie. W liście pojawiła się sugestia, że kiedyś, w czasie wojny, jego nadawca był w Polsce jako hitlerowski żołnierz i pewnie nie miał wtedy do nas szczególnie przyjacielskiego stosunku (*ONA wybucha śmiechem*). Kiedy dowiedział się o kryzysie, przyszło mu do głowy, że pomoc jakiejś polskiej rodzinie to dobry sposób na uspokojenie własnego sumienia. Rodzice nie mieli nic przeciwko

tej – w gruncie rzeczy szlachetnej – inicjatywie i po pewnym czasie zaczęły przychodzić wielkie paczki z dość kuriozalną zawartością. Owszem, zdarzały się produkty żywnościowe pierwszej potrzeby, jak mąka, makaron czy ryż. Zdarzały się również produkty żywnościowe drugiej potrzeby i trzeciej świeżości (zapewne nadawca nie miał świadomości, jak długo paczki podróżują), ale najśmieszniejsze były ubrania. Garnitury nie pasowały na nikogo w naszej wychudzonej rodzinie, a pewnie i nie pasowałyby na nikogo w naszej wychudzonej ojczyźnie. Ich poprzedni właściciel musiał być nieduży, mieć krótkie rączki i nóżki, za to przeogromny brzuch... Moja wojenna wyobraźnia podpowiadała mi, że nadawca tych paczek może być hitlerowskim snajperem, który strzelał do mnie we śnie, a teraz – skruszony – usiłuje zmyć swe winy, dokarmiając mnie i ubierając. I dopiero gdy oprócz paczki przyszedł kiedyś list z życzeniami świątecznymi, a do listu dołączono zdjęcie całej rodziny zgromadzonej wokół naszego dobroczyńcy, wizja ta się rozwiała. Otóż wszyscy, z nim na czele, nosili bardzo silne okulary i mieli bardzo wyraźnego zeza. Niemożliwe, by ktokolwiek z nich był celnie strzelającym snajperem.

*ON i ONA zakładają okulary o bardzo mocnych szklach.*

### **Scena 7.**

***ON jest ubrany w sukienkę, ONA - po męsku, ale ma mocny makijaż i podkreślone rzęsy i doklejone wąsy. Siedzą w szkolnej ławce.***

ONA (niższym głosem niż zwykle):

Jako dziecko miałem długie rzęsy, miewałem loczki, gdy udawało mi się przez dłuższy czas uciekać przed nożyczkami, i byłem raczej drobny. Okropnie przeżywałem, gdy brano mnie za dziewczynkę. Jeszcze okropniej, gdy brano mnie za ładną dziewczynkę. A że w tamtych czasach trudno było dostać w sklepach stosowne wdzianka, kupowano więc jedyne dostępne, czyli raczej niestosowne. No i kiedyś kupiono mi na zimę dziewczęce kozaczki. To był prawdziwy cios dla mojego ego. Postanowiłem się bronić i bardzo szybko przeszedłem mutację. Nie powiem, żeby natychmiast zaczęto mnie traktować jak mężczyznę, raczej wprawiałem tym moich rozmówców w osłupienie. I udawało mi się rozśmieszać odpytujących mnie nauczycieli, dzięki czemu łagodniej traktowali moje braki w wykształceniu.

ON (*odkleja jej wąsy i przykleja sobie, zdejmując perukę*):



No więc JA bardzo wcześnie przeszedłem mutację. Miało to konsekwencje praktyczne. Stałem się bowiem bardzo popularny wśród starszych kolegów, którzy prosili mnie, żebym kupował im to i owo w pobliskim sklepie monopolowym. W solidnie zakratowanej witrynie wisiał wówczas przykurzony plakat z wizerunkiem obrażonej damulki i dydaktycznym napisem:

ONA (z *emfazą*):

„Z pijanym nie tańczę!”.

ON:

Ale mnie przepełniała wyłącznie duma. Dostawałem odliczoną kwotę, szedłem do sklepu, robiłem poważną minę i zamawiałem, co chcieli koledzy. Ekspedientce nigdy nawet brew nie drgnęła. Pewnego razu za ladą obok niej stała jakaś nowa, której wcześniej nie widziałem. Powiedziałem swoim barytonem: „Poproszę pół litra stołowej”, ekspedientka bez słowa wzięła pieniądze, zaczęła zawijać butelkę w papier, wskazała na mnie ruchem głowy i wyszeptała do tej nowej wyjaśniająco:

ONA (*scenicznym szeptem*):

Karzełek!

*ON ukrywa twarz w dłoniach i kurczy się w ławce.*

### **Scena 8.**

***ON stoi przed drzwiami z pustą butelką na mleko. ONA — niewidoczna — za drzwiami.***

ON:

Wiedziałem, że w Polsce rządzą źli ludzie, że to przez nich żyje nam się gorzej, niż na przykład w Anglii czy Francji. Wiedziałem, że z tymi złymi ludźmi walczą ludzie dobrzy, ale ta walka nie była szczególnie ciekawa. No bo co może być ciekawego w jakichś brudzących palce gazetkach, kieszonkowych książkach, czarno-białych ulotkach, maleńkich znaczkach wpinanych w swetry i zapuszczaniu wąsów? Mój tata co jakiś czas dostawał tajemniczą kopertę. Najpierw wystawiał przed drzwi odpowiednio ułożone butelki na mleko (*otwiera drzwi i wystawia butelkę*), potem ktoś dzwonił do drzwi, jakoś inaczej niż wszyscy (*rozlega się skomplikowany układ długich i krótkich dzwonków*), tata je uchylał i dostawał kopertę z

sekretną zawartością (*uchyla drzwi, ONA podaje mu kopertę w formacie A4*). Niestety, była to tylko płaska koperta i nie zmieściłaby się w niej na przykład pepesza ani nawet parabellum. Były tam za to jakieś gazetki, które tata gdzieś dalej zanosił. Jedną zabierał sobie, czytał, po czym chował – nie wiedzieć czemu – w tapczanie. Ech. I to miała być wojna?

ON (*podchodzi do okna, po przeciwnej stronie niż drzwi; ONA do niego dołącza*):

Tymczasem któregoś zimowego dnia wyrzałem przez okno i dech mi zaparło z wrażenia. Ulicą pod blokiem jechały czołgi. Takie same, jakie całe życie namiętnie rysowałem. Takie same, jak z moich wojennych snów. Takie same, jak w mojej ukochanej książce o czterech pancernych. Serce zaczęło mi żywiej bić. Przypiąłem czerwony plastikowy miecz z wypisanym własnoręcznie zaklęciem w języku elfów (*tu przypina zabawkowy miecz*), wziąłem kilka kolorowych pistoletów (*wkłada za pasek zabawkowe pistolety na wodę*) i trochę amunicji i poczułem, że właśnie kończy się moje dzieciństwo. Tak uzbrojony stanąłem w drzwiach, by ruszyć w dorosłość. Chociaż wolałbym wprost przeciwnie.

### **Scena 9.**

***Przedział kolejowy. ON i ONA siedzą naprzeciwko.***

ON:

Nabokov pisze, że we wzmożonej wrażliwości na przedwieczność lub oczekującą wieczność jest coś z dziecinady. Człowiek, który wkracza w dorosłość, tak przyzwyczajają się do niezrozumiałości powszedniego życia, że obojętnie traktuje obie czarne nicości, symbolizowane przez wózek na ganku i trumnę. Spomiędzy nich uśmiecha się do nas miraż, mylnie uważany za krajobraz, oczarowanie tym wszystkim, co poza nami, co możemy kontemplować w podróżach. I co z niewiadomych przyczyn wyzwala w nas jakąś niepoahamowaną tęsknotą za dzieciństwem, za tym, co minęło i żyje tylko w naszej pamięci.

ONA:

Za oknem polne monotonie,  
krajobraz senną ciszą skutu,  
telegraficzne pięciolinie,  
na których siedzą ptasie nuty.

ON:

Przecinki na niebieskiej kartce,  
choć między nimi ani słowa,  
bo przecież wokół senna cisza,  
i nie wiem, co się za nią chowa.

ONA:

Skoro wokoło ani słowa  
i nikt nie woła - jedźmy dalej,  
najpierw w zachłanną zieleń bliży,  
potem w otchłanną siność dali.

ON:

I nagle, w dali coraz bliższej,  
wiatrem i słowem wyświechtane,  
nabiera kształtu i koloru  
drzewo - rzekomo rozplakane.

ONA:

Lecz płacze tylko w moich oczach,  
bo obojętne jest i chłodne  
To tylko ja współczucia żądam  
- pożałowania to niegodne.

ON:

Za oknem polne monotonie,  
a obraz coraz bardziej mętny.  
To płaczesz ty i ja, nie drzewa.  
Pejzaż — jest zawsze obojętny.

KONIEC

*Wykorzystano fragmenty autobiografii Vladimira Nabokova Tamte brzegi, przeł. E. Siemaszkiewicz, wyd. Czytelnik, Warszawa 1991.*